Eksperyment KLAN

Danuta Wawiłow

Człowiek, który nie umie tworzyć, jest figurą ulepioną z gliny. Jego emocje, wizje, doświadczenia rozsadzają go, nie znajdując ujścia. Nie wie, kim jest, po co żyje, dlaczego cierpi. Ma zaszyte usta. Ale wystarczy mu je przeciąć, żeby jego świat wewnętrzny, jedyny i niepowtrzalny, ujawnił się, nadając sens wszystkiemu. Niemożność mówienia może doprowadzić do katastrofy. Zwłaszcza w młodości.

Prawo do tworzenia powinno przysługiwać każdemu człowiekowi na równi z prawem do pracy i odpoczynku. Prawo pisania wierszy, rysowania, muzykowania, lepienia glinianych ptaszków. Nikt nie może go tego pozbawić. Presja psychiczna, lekceważenie dla twórców nieprofesjonalnych, kpina i ironia wobec tych, którzy dopiero zaczynają przemawiać własnym głosem – wszystko to jest zjawiskiem haniebnym. Wrota na Parnas – okratowane, najeżone kolcami – strzeżone są przez armię profesjonalistów, krytyków i decydentów od kultury. Kieruje nimi strach o swoją pozycję, o miejsce wśród artystycznej elity. Co za zasługa być poetą, jeśli może nim być każdy? – oburzyła się znana autorka, kiedy opowiedziałam jej o naszym eksperymencie.

W porządku. Autorka nadal zajmuje swoje miejsce na Parnasie wraz z wąskim gronem kolegów po piórze, palecie i harfie. Spory tłumek pnie się pod górę, chcąc do nich dołączyć. Większość z nich nie wytrzymuje tej wspinaczki i rezygnuje w pół drogi.

A w dole jest łąka. Pełna kwiatów i traw. Żyjąca swoim własnym rytmem o każdej porze roku. Jedna roślina niepodobna jest do drugiej – ta kwitnie tylko rok, tamta rozrasta się w potężne drzewo. Bez ponaglania, bez przymusu, bez stresów i rywalizacji. Łąka bez granic, wieczna jak życie.

Taka jest moja wizja KLANu.

KLAN – Klub Ludzi Artystycznie Niewyżytych – powstał w maju 1992 roku. Jego historia nie jest długa. Trudno w to uwierzyć, patrząc na nasze archiwa – stosy listów, tomików, rysunków, zdjęć, którymi mój pokój zapchany jest po brzegi. Ale historia to nie wszystko. Jest jeszcze prehistoria.

Ponad dwadzieścia lat temu zaczęłam pisać o dzieciach i dla dzieci. Wydałam sporo książek. Zainkasowałam nawet dwie nagrody międzynarodowe. Ale nie to było ważne. Najważniejsze było to, że przy tej okazji odkryłam dla siebie dwa światy – świat dziecięcej twórczości i wyobraźni i pokrewny mu świat kultury ludowej. Dlaczego pokrewny, o tym potem. Oba te kierunki wskazały mi drogę, którą idę do dziś.

Potem były programy telewizyjne i radiowe, poświęcone twórczości dzieci i młodzieży, były rubryki w pismach młodzieżowych. I wreszcie dwutygodnik „Filipinka'', w którym regularnie drukuję felieton *Cześć, poeci i poetki* i kolumnę wierszy młodych.

Listów z wierszami otrzymywałam zawsze całe góry. Wniosek był jeden – piszą prawie wszyscy młodzi ludzie. Chłopcy ujawniają się rzadziej – są wstydliwsi – dziewczyny częściej. Dla każdego z nich podzielenie się z obcymi własną twórczością jest aktem bardzo intymnym, wymagającym odwagi i desperacji. Tak łatwo jest ich zranić, zniechęcić, odebrać im wiarę w siebie. Nic dziwnego, że są nieufni.

Ciekawe, że z tych, którzy do mnie pisali, o publikację prosiło niewielu. Większości zależało na ocenie, choćby najsurowszej. Na potwierdzeniu, że warto pisać dalej. Normatywna krytyka wpoiła w nich przekonanie, że twórczość jest domeną wybranych, a pisanie wierszy – czymś w rodzaju nielegalnego procederu, jazdą autobusem na gapę. Próbą wciśnięcia się tam, skąd każdy ma prawo ich wyrzucić. Stąd dodatkowo strach i poczucie winy.

To oczywiste, że w tej sytuacji czułam się w obowiązku pomóc każdemu, kto się do mnie zwracał. A przy tym nie miałam fizycznej możliwości odpowiedzieć osobiście na wszystkie listy. I wtedy wymyśliłam KLAN – miejsce, gdzie mogliby się spotykać młodzi ludzie, głównie poeci, gdzie mogliby czytać swoje wiersze, wymieniać doświadczenia, konsultować się wzajemnie. I przede wszystkim zaprzyjaźnić się ze sobą, odnaleźć sobie podobnych, poczuć się bezpiecznie. Marzyło mi się stworzenie środowiska literackiego, pozbawionego rywalizacji i zawiści, opartego na tolerancji i wzajemnej życzliwości. Marzyła mi się sieć Klanów, rozsianych po całej Polsce, w miastach, wsiach i małych miasteczkach. Marzyły mi się korespondencyjne przyjaźnie, wymiana wierszy, wspólne imprezy.

Udało się i to, i nawet dużo więcej. Ale nie od razu. Eksperyment był jedyny w swoim rodzaju, nie mieliśmy żadnych wzorców. Poruszaliśmy się po omacku. My – to znaczy ja, jedyna dorosła osoba w Klanie i moi ludzie. Wszyscy w wieku od trzynastu do dwudziestu paru lat.

Tak czy inaczej, KLAN zaistniał. Początkowo spotykaliśmy się w suterynie, w sali gimnastycznej I Społecznego LO w Warszawie, pośród starych trampków i rowerów do odchudzania. Żeby się tam dostać, trzeba było przejść labirynt ciemnych korytarzy z zapalonymi świeczkami w rękach. W ten sposób odkryliśmy romantykę nietypowych miejsc, nieszablonowych rozwiązań. Happeningi, które rodziły się spontanicznie, zabijały rutynę. Wszystko stawało się inne. To była przygoda.

Najpierw przychodzili tylko poeci. Potem ta formuła okazała się zbyt ciasna. Ktoś przyprowadził koleżankę, która, co prawda, nie pisze, ale świetnie rysuje. Ktoś przyniósł swoje zdjęcia, gitarę, pokazał, jak się tańczy flamenco. Raz przyszła dziewczynka z własnoręcznie upieczonym ciastem, przepraszając, że nic więcej robić nie umie. Powitaliśmy ją entuzjastycznie. I tak się już potem utarło. Przychodził, kto chciał. Nikogo nie wyganialiśmy. Chodziło o to, żeby nas było dużo, żeby każdy był inny i żeby było nam razem ciepło. To był właśnie ten klimat, w którym – odgadywaliśmy to intuicyjnie – kwitnie twórczość. Okazało się, że mieliśmy rację.

Oczywiście, ludzie przychodzili różni. Niektórzy spodziewali się, że przy pomocy Klanu szybko dorobią się tomika i przepustki na Parnas. Inni uważali się za niezwykle utalentowanych i oczekiwali komplementów. Jeszcze inni sypali mądrymi terminami i mieli się za elitę. Tacy wykruszali się od razu. Klan nie spełniał ich oczekiwań. Tu nikomu nie zależało na karierze, zaszczytach, rozgłosie. Każda próba pochwalenia się swoimi sukcesami była bezlitośnie wyśmiewana. Klanowcy nie chcieli uczestniczyć w ogólnopolskich konkursach literackich, nie uznawali żadnych autorytetów oprócz tych, którzy sami sobie wybrali. Zamiast żmudnych zabiegów o wydany nakładem wydawnictwa tomik preferowali swoje domorosłe, odbite na kserokopiarkach, ilustrowane własnoręcznie lub przez kolegów tomiki, które można było następnie rozesłać do przyjaciół. Jako formuła najbardziej odpowiadała im antologia. Cieszyło ich, że ich wiersze funkcjonują anonimowo – na murach, na podkoszulkach i plecakach, że wracają niekiedy do Polski okrężną drogą, przez Kanadę czy Stany Zjednoczone, gdzie również mają swoich czytelników. Jak wiersz Tomka Niedzieli, punka ze Skierniewic, być może jedyny w jego życiu, który w sposób najdobitniejszy i najgłębszy wyraził całą gorycz młodości.

Jestem nikim
jestem dupkiem
jestem słaby
ginę w tłumie
jestem głupi
jestem inny
jestem tchórzem
jestem winny
Jestem śmieciem
niepotrzebnym
jestem łajdak
i to wredny
Jestem brzydki
jestem smutny
jestem chamem
jestem brudny

Ale przecież jestem

Tak więc Klan działał i z każdym spotkaniem przynosił nam coraz to nowe odkrycia. Jednym z największych było to, że poezja okazała się w nim wcale nie najważniejsza. Była tylko wierzchołkiem góry lodowej. Kluczem, który otwiera zamknięte drzwi. Przekonaliśmy się o tym w Śmiglu, w województwie leszczyńskim, gdzie w wypożyczonym na dwa tygodnie starym wiatraku odbył się nasz letni obóz.

Przyjechało około trzydziestu osób, zwabionych ogłoszeniami w „Filipince''. Najmłodsza, Madzia Lisiecka z Gliwic, miała 13 lat, najstarszy, Przemek Kowalak, piekarz z Poznania, dwadzieścia trzy. To, co działo się dalej, było dla mnie zarazem szokiem i objawieniem. Śmigiel był nie tylko poligonem dla naszych idei, możliwością realizacji wszelkich, również tych zrodzonych na poczekaniu pomysłów. Był także królestwem wolności. Kładliśmy się spać nad ranem, po obejrzeniu wschodu słońca. Budziliśmy się około pierwszej po południu. Spało się na podłodze w wiatraku, kiedy była burza (a burze zrywały się często i nagle) i w trawie wokół wiatraka, kiedy było gorąco. Szefowie z Domu Kultury, którzy wpadali do nas niekiedy z wizytą, rozkładali ręce – wiadomo, poeci ludzie nienormalni – i nie budząc nas, wracali do siebie. O trzeciej w nocy – eskapada do piekarni po gorący chleb, włóczęgi po stromych, krętych uliczkach, niekończące się rozmowy, happeningi i wiersze. I ta irytacja, że nie można być jednocześnie w każdym miejscu, słuchać wszystkich rozmów naraz, że coś nam ucieka.

Odkryliśmy nagle, jak niewielu rzeczy człowiek potrzebuje do szczęścia. Stary podkoszulek i szorty, chleb, woda z sokiem, pita jednym kubkiem ze wspólnego wiadra, kiedy już wszystkim skończyły się pieniądze. Nauczyliśmy się odróżniać rzeczy ważne od nieistotnych. To była wielka lekcja. Przy tym wszystkim pracowaliśmy niezwykle intensywnie. W ciągu tych dwóch tygodni udało nam się przygotować i odbić na kserokopiarce nasz wspólny tomik.

A wszystko zaczęło się od wspólnego czytania wierszy. To był wielki akt wzajemnego zaufania. Potem zaczęły się otwierać następne drzwi, zaskakując nas coraz bardziej.

Po pierwsze – pisać zaczęli wszyscy. Nawet tak zwane osoby towarzyszące. Eryka Grzebień, która nigdy przedtem nie miała nic wspólnego z poezją, którejś nocy zaczęła miotać się po wiatraku w poszukiwaniu papieru i ołówka. Napisała wiersz:

co dostałam od Boga?
trzy burze
dwa światy
jedno życie

I zaraz potem drugi.

Po co mi pieniądze
jeśli i tak
niebo mam za darmo?

O ile mi wiadomo, potem już nie pisała. Wypowiadała się w inny sposób – przez rysunki i muzykę. Te dwa wiersze, zrodzone w chwili najintensywniejszych przeżyć, pozostały.

Moje przewidywania sprawdzały się, obrastały dowodami. Wiedziałam już, że się nie mylę – tworzyć może i powinien każdy. Jeśli jeszcze nie umie, można go tego nauczyć. Potrzebna była tylko formuła. Tak zrodziła się idea „okrucha'', polskiego wariantu japońskiego haiku. Jest to forma idealna dla człowieka, który chce przemówić po raz pierwszy. Wiersz najkrótszy, nierymowany, napisany prostym, codziennym językiem (pisz, jak mówisz, mów, jak czujesz), wiersz – obraz, skondensowana emocja. Okruchy rodzą się w każdym z nas, zwłaszcza w chwilach wyciszenia i samotności. Tworzy je każdy, od dwuletniego dziecka do staruszka emeryta, od zbuntowanego nastolatka do babci w kolejce. Okruch rodzi się sam, jak iskra, bez udziału świadomości, bez kontroli rozumu, zamykając w sobie wszystkie nasze życiowe doświadczenia, objawienia, iluminacje. Poetą jest każdy, kto żyje, poezją jest wszystko to, co w nas i wokół nas. Indianie uważają, że biali są głupi – bo wydaje im się, że człowiek myśli głową. Naprawdę myśli się sercem. Poezji nie trzeba rozumieć, trzeba jej się poddać. Sakramentalne pytanie, na którym bazują szkolni poloniści – „Co poeta miał na myśli'' – jest oczywistym nonsensem. Te kilka prawd złożyło się na fundament klanowej poezji. I klanowego myślenia w ogólności.

W Śmiglu nauczyłam się rozpoznawać poetę po tym, jak mówi, jak patrzy. Marta Mruk, wówczas szesnastolenia, człowiek o wielkiej wrażliwości i głębi, była autorką kilku przeciętnych wierszyków. Mówiłam jej, że wkrótce będzie pisała pięknie. Śmiała się, nie wierzyła. „Dlaczego?'' – „Bo masz osobowość. I pięknie mówisz.'' Dziś jest jedną z największych poetyckich indywidualności Klanu.

jestem
jesteś
jesteśmy
dwa motyle
na chwilę

To jeden z jej wierszy. I drugi, napisany po śmierci kolegi.

ty co nas zabierasz
ręce po nas wyciągasz
zostaw
odejdź
drzewa liście zrzucą
przyjdziemy sami

Podobne przypadki stały się potem regułą. Z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień ludzie zaczynali pisać pięknie. Dziewczęta szybciej, są bardziej elastyczne. Chłopcy – którzy próbują w poezji wyrażać głębsze i bardziej złożone treści – uczyli się wolniej, żmudniej, posuwając się naprzód skokami po okresach pozornej stagnacji. Rezultaty były jednak niemniej ciekawe. W krótkim czasie na naszych oczach wyrosła grupa świetnych poetów, których wiek nie przekraczał 20 lat. To było niewiarygodne.

Ale nie koniec na tym. Największe odkrycie czekało na nas w innej dziedzinie. Ludzie zmieniali się w oczach. Śmiglowy klimat – wzajemne zaufanie, zrozumienie, poczucie bezpieczeństwa, serdeczność i czułość, czyniły cuda. Znikały zadawnione kompleksy, ludzie prostowali się, zaczynali wierzyć w siebie. Stawali się szczęśliwi. A co za tym idzie – odkrywali w sobie nowe możliwości, nowe talenty, o których istnieniu nie mieli przedtem pojęcia.

Poczuliśmy się wszechmocni. Zdawało nam się, że odkryliśmy panaceum od wszystkich nieszczęść, lęków, frustracji. Klucz, przy pomocy którego można przeniknąć za każde drzwi, każdego wyleczyć, każdemu pomóc. Nauczyłam wszystkich wróżyć z ręki (umiałam to od dawna), wypracowaliśmy własne testy psychologiczne, które ułatwiały ludziom poznawanie siebie i innych. Sądziliśmy, że czynić cuda jest niesłychanie łatwo. Odbywaliśmy seanse psychoterapeutyczne, usiłując dotrzeć do samego wnętrza, odnaleźć źródło cierpienia i kompleksów i wyleczyć je. Metoda była drakońska, ale ludzie poddawali się jej chętnie. Nocą w wiatraku dochodziło do wyznań, które chyba nigdzie indziej nie mogły mieć miejsca. Dziś nie odważyłabym się powtórzyć tego eksperymentu. Ryzyko było zbyt duże. Ale wtedy byliśmy wszyscy – ze mną włącznie – młodzi i głupi. I może właśnie dlatego mieliśmy szczęście. Ludzie wyjeżdżali ze Śmigla odmienieni i szczęśliwi.

Potem okazało się, że nie wszystko jest takie proste. Odporność psychiczna bywa różna. Niektórzy po fascynującej przygodzie, jaką był Śmigiel, odkryli siebie na nowo, zaczęli żyć odważniej i bardziej świadomie. Inni przeciwnie – powróciwszy do dawnego środowiska, nie znaleźli w sobie siły, żeby mu się przeciwstawić. Ciekawe, że tacy szybko zrywali z nami kontakt. Było im wstyd. Śmigiel zobowiązywał. Z pierwszego letniego obozu w Klanie pozostało zaledwie kilka osób. To była kolejna lekcja.

Były również niespodzianki. Po wyjeździe ze Śmigla wybuchły talenty. Magda Lisiecka w ciągu kilku miesięcy przygotowała 10 tomików, osiągając taki poziom szczerości i dojrzałości zarazem, że trudno było uwierzyć, iż ma zaledwie 13 lat.

dwunastoletnia kobieta
w autobusie
cała jej kobiecość
spływała po cienkich białych
rajstopach
a ona zawstydzona
obgryzała kasownik
dwunastoletnia kobieta
wysiadła
dźwigając w tornistrze
jak nowy przedmiot
dojrzałość

Był to chyba pierwszy znany mi przypadek, kiedy świat dojrzewającej dziewczynki obnażony został przez nią w tak odważny i zarazem dramatyczny sposób. Tomik za tomikiem przysyłała mi z Opola Olga Szkolnicka, piętnastolatka, która w Śmiglu zaskoczyła nas wierszem o Bogu.

Bóg
kocha nas
gdy klęczymy przed nim
i szepczemy
że żałujemy za grzechy.
Boże
kochaj mnie
bez tych wszystkich hec
w autobusie z rana
kiedy modlić się najtrudniej

Co tu gadać – o konflikcie z Bogiem i światem dorosłych, o dojrzewaniu, o buncie, samotności, miłości nasi ludzie potrafili pisać pięknie, ze szczerością i pasją, jakiej nie wykrzesałby z siebie żaden noblista. Piękno ma sto twarzy. Ale literatura, tworzona przez dorosłych, rzadko przystaje do młodych. Nie chcą jej, nie potrzebują, jest im obca. Akceptują tylko tych autorów, którzy nadają na wspólnych z nimi falach. Młodych duchem, miotanych niepokojem, zbuntowanych. Nie ukrywających swojego cierpienia. I tych, którzy zapłacili za swoją poezję najwyższą cenę – jak Poświatowska czy Stachura.

W Śmiglu była dobrze zaopatrzona biblioteka. Czytaliśmy dużo, zarażaliśmy się wzajemnie ulubionymi książkami. Blake, Lorka, poeci amerykańscy, Rimbaud, Villon. Było to inspirujące nie tylko dla nich – również dla mnie.

A jednak doznałam kilku porażek. I to w najbardziej niespodziewanym miejscu. Kiedy czytałam im japońskie haiku, patrzyli na mnie z niedowierzaniem. To było zbyt proste. Wręcz głupie, jak powiedziała Angela Majewska. Takie sobie wierszyki o niczym. Pół roku później ta sama Angela sama pisała haiku. Bardzo piękne.

Czuję Wieczność.
Życie jest łzą
spływającą mi po policzku

Me ciało
jak porzucony przez drzewo liść
dokąd ma iść?

Trzeba było tylko czasu, żeby się przyzwyczaić, żeby spojrzeć na świat inaczej. Tomik przekładów Miłosza dokończył dzieła. Dziś haiku jest dla naszych poetów niekwestionowanym wzorem.

Natomiast generalną klapę poniosłam, próbując przekazać im swoją miłość do polskiej poezji ludowej. Czytałam im teksty wyszperane w tomach Kolberga, Bystronia i innych.

Nieszczęśliwe było w komorze łóżeczko,
gdzie się rozkrawało czerwone jabłuszko.
Jabłuszko zostało na noże,
dzieciątko płakało w komorze.

Pierwej było tej miłości
cztery wozy furmańskie,
teraz byś jej nie uzbierał
na naparstek krawiecki.

Nie słyszę Ciebie, Panie.
Wielkie ptaków śpiewanie.

Poezja ludowa jest od dawna moją wielką fascynacją. Wspólnie z mężem, Olegiem Usenko, wydaliśmy zbiorki tekstów ludowych dla dzieci – *Idzie rak nieborak, Czerwone jabłuszko, Piszczałeczka*, a także tomik polskich erotyków ludowych *Sadeczek wiśni*. Przygotowałam przed laty obszerny wybór pt. *Jawor zielony*, dzieje człowieka od urodzenia do śmierci, odbite w lustrze ludowej poezji. Miała go wydać Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, nie wydała, inne wydawnictwa nie chciały się nim zainteresować. Zawarte są w nim teksty rzadkiej piękności, o uniwersalnych treściach, bliskich człowiekowi w każdym wieku. Większość z nich jest nieznana szerokiemu ogółowi.

Czytałam je moim ludziom z głębokim wzruszeniem. Reakcja zaskoczyła mnie. Śmieli się! Nie zrozumieli! Przyznam, że zabolało mnie to okropnie. Prostota i piękno poezji ludowej, jej zwartość, jej obrazowość okazały się dla nich zbyt trudne. Ale jeśli nie oni, młodzi, wrażliwi, utalentowani, to kto jeszcze odczuje piękno tej poezji? Wciąż nie rezygnuję. Zdołałam zarazić moją fascynacją kilka osób. Ale dopóki teksty ludowe będą traktowane przez wydawnictwa i środki przekazu jako margines kultury, ciekawostka, lektura dla filologów, sytuacja nie ulegnie zmianie. Poezja ludowa powinna odnaleźć drogę do czytelników, zwłaszcza młodych, powinna towarzyszyć im od dzieciństwa, znaleźć się w lekturach szkolnych, w podręcznikach – wtedy jej piękno i ponadczasowe treści staną im się bliskie.

Wróćmy jednak do Śmigla. Któregoś dnia do wiatraka zajrzał chłopak z Belgii, Edwin. Znalazł się tu przejazdem. Pytał, kim jesteśmy. Hippisowską komuną? Wegeterianami? Palimy hasz? Zdziwił się, słysząc, że nie. Spędził z nami sporo czasu. Bariery językowe nie przeszkadzały ani w zabawie, ani w dyskusji, ani w pracy. Okazało się, że świetnie rysował. Przed wyjazdem spytał – czy nie mam wyrzutów sumienia, roztaczając przed młodzieżą tęczowe perspektywy, kiedy w dorosłym świecie czeka ich nudne, monotonne życie, pogoń za pieniądzem i karierą. Powiedziałam, że nie. Wręcz przeciwnie. Wszyscy nasi ludzie w przyszłości będą wykonywać swój zawód, wychowywać dzieci, żyć jak wszyscy śmiertelnicy – a jednocześnie pisać, malować, śpiewać, grać. Nie ma w tym nic niemożliwego. Na takim właśnie fundamencie funkcjonowała przez całe wieki kultura ludowa, tworząc niezapomniane, uniwersalne wartości. Edwin nie był do końca przekonany. Ale w przyszłym roku przyjechał znowu. Stęsknił się za nami. W Belgii nie ma Klanu.

Ale lato się skończyło, znaleźliśmy się znowu w Warszawie. Suterenę w I Społecznym LO nam wymówiono. Poszukiwanie miejsca na cotygodniowe spotkania trwało długo. Z kawiarni na Starówce wyrzucono nas z awanturą. Kilku świeżo upieczonych członków Klanu zasmarowało sprayem mury Starówki. Gdybyśmy przyszli nazajutrz i je wyczyścili, nie byłoby problemu. Nie przyszedł nikt. Wszyscy byli zajęci. Szorowałam mury sama pod listopadowym deszczem. Potem za zaciągniętą pożyczkę spłaciłam kawiarnię. Czułam się oszukana jak nigdy w życiu.

Klan warszawski rozwiązałam, powstał nowy. Kiedy minęła gorycz, zrozumiałam jeszcze jedną ważną rzecz – że moi ludzie są nie tylko wspaniali, cudowni i wrażliwi. Są również – co w ich wieku normalne – leniami, egoistami, gówniarzami, na których nie można liczyć. Odpowiedzialności i wdzięczności muszą się dopiero uczyć i wychodzi im to różnie. O wiele łatwiej jest nauczyć pisania wierszy. Trzeba o tym wiedzieć, kiedy przystępuje się do pracy z młodzieżą.

Listy i wiersze przychodziły w dalszym ciągu, było ich coraz więcej. Jeżdżąc po Polsce w ramach spotkań autorskich, zakładałam Klany gdzie się dało – w Olsztynie, Krakowie, Szczecinie, Gorzowie, Pile. Rodziły się jak grzyby po deszczu i tak samo szybko umierały. Żeby powstał Klan, trzeba nie tylko zaprzyjaźnionej grupy ludzi, trzeba też lidera – człowieka z wyobraźnią i wściekłą energią, który ma po sześćdziesiąt pomysłów na minutę. Takich spotyka się niewielu. Klan krakowski, skażony tamtejszą atmosferą, pełną powagi i namaszczenia, zmieniał skład kilka razy. Mimo to żyje i funkcjonuje, dzięki staraniom kolejnym pasjonatów. Należy do niego m.in. Jadźka Malina, 20-letnia ogromnie utalentowana poetka i malarka ze wsi Trzebunia pod Myślenicami. Jej wiersze, opublikowane w czasopismach „Region'' i „Sycyna'' zyskały wysokie uznanie.

Frasobliwy
Chrystus
w drewnianej koronie
z drewnianym sercem

Przydrożny Chrystus
Jedyne jego szczęście
butelka wódki
co ją trzyma
w drewnianej ręce

Obecnie Jadźką zainteresował się również Kraków. Napisano o niej kilka reportaży, zrobiono audycję radiową. Jadźka zajmuje się również Klanem wiejskim – otrzymuje mnóstwo listów, radzi, konsultuje, pociesza. W zeszłym roku wyszła za mąż. W Śmiglu wyprawiliśmy jej klanowe wesele.

Tymczasem w Warszawie udzieliła nam schronienia Wojewódzka Biblioteka Pedagogiczna. Zaczął się okres względnej stabilizacji. Dostaliśmy szafę na papiery i salę na sobotnie spotkania. Otrzymywałam nawet symboliczne wynagrodzenie, którego starczało zaledwie na znaczki. Ważne jednak, że tym razem byliśmy u siebie.

Idylla trwała rok. Oprócz tradycyjnej działalności organizowaliśmy co kwartał klanowe „nocki''. Ludzie zjeżdżali się z całej Polski z plecakami i śpiworami, odbywały się warsztaty, przeglądy naszych osiągnięć, całonocne rozmowy i włóczęgi po Warszawie. Wymyśliliśmy także coś zupełnie nowego – własny teatr. Najchętniej wystawialiśmy bajki, lektury szkolne i Szekspira. Teatr od początku do końca opierał się na improwizacji. Wystawienie Hamleta zajmowało nam dziesięć minut, przygotowanie – kwadrans. Teksty, uwspółcześnione, utrzymane w konwencji kabaretu, wymyślało się na poczekaniu. Ciekawa rzecz, że w przedstawieniach chcieli uczestniczyć wszyscy, nawet najbardziej zakompleksieni i nieśmiali. Każdy grał właściwie samego siebie, tak że w zależności od podziału ról powstawały różne warianty spektaklu. Romeo mógł być podwarszawskim żulem, chłopakiem z budowlanki i młodym intelektualistą, Julia – szkolną aktywistką i punkówą z kolczykiem w nosie. Każde przedstawienie było właściwie niepowtarzalne. Ludzie ze zdumieniem odkrywali w sobie talenty aktorskie i reżyserskie. Czasem odgrywaliśmy przedstawienia na ulicy. Kiedy zobaczyłam Jacka, leżącego w charakterze martwego Romea na chodniku, pod nogami przechodniów, zrozumiałam, że odkryliśmy jeszcze jedno lekarstwo przeciw kompleksom. Jacek był w tamtym okresie człowiekiem ogromnie nieśmiałym. Nasz teatr uwolnił go od tego całkowicie.

Klan rozrastał się coraz bardziej. Pojawiało się w nim coraz więcej ludzi po prostu nieszczęśliwych, po ciężkich przejściach, potrzebujących pomocy. Niektórzy cierpieli na skłonności samobójcze, ciężkie depresje. Beatę wyrzucono ze szkoły pod nonsensownym zarzutem rozprowadzania narkotyków, ojczym skorzystał z okazji i wypędził ją z domu, matka nie żyła od kilku lat. Beata przez długi czas obijała się po pogotowiach opiekuńczych. Była dzika, agresywna, często wulgarna. Różniła się bardzo od reszty naszych ludzi. Ale było jej bardzo źle i uważałam, że jeśli ktoś może jej pomóc, to tylko my. Zabrałam ją do kolejnego Śmigla trochę wbrew sobie. W Śmiglu zmieniła

się nie do poznania, przestała przypominać zaszczute zwierzątko, zaczęła się śmiać. Znalazła sobie chłopaka. Teraz jest w domu dziecka, uczy się. Normalna, szczęśliwa dziewczyna.

Mariusza odwiedzaliśmy w szpitalu psychiatrycznym. Przebywał tam przez rok, chory na rzadką odmianę depresji. Był bardzo zdolny, rysował, grał. Namówiłam go do pisania. Pisał bardzo dużo i intensywnie – piękne wiersze i prozę. Myślę, że to w dużym stopniu pomogło mu przetrwać. Teraz jest zdrów, ma pół Warszawy przyjaciół. Dawniej był samotny.

Takich przypadków było dużo więcej. Każdy traktowaliśmy jako nasze osobiste zwycięstwo. Zdawaliśmy sobie sprawę, że skoro Klan może nieść ludziom pomoc, to powinien to robić. Na naszych spotkaniach zderzały się najrozmaitsze postawy, ideologie, środowiska. Ludzie uczyli się tolerancji i życzliwości. To było fantastyczne. Chcieliśmy objąć tym ciepłem wszystkich. Uważaliśmy, że każdemu to się należy.

Problem polegał na tym, że zadanie to przerastało nasze siły. Zwłaszcza moje. W dalszym ciągu byłam w Klanie jedyną dorosłą osobą i to na mnie spoczywał cały ciężar odpowiedzialności. Dźwigałam na sobie obowiązki, których starczyłoby na całe ministerstwo. Konsultacje z poezji i prozy, z przekładu poetyckiego i pisania dla dzieci, testy, psychoterapia, teatr, ogromna korespondencja, wszelkiego rodzaju porady życiowe, pocieszanie nieszczęśliwych i samotnych, słowem, załatwianie wszelkich możliwych spraw od konfliktów w domu poprzez kłopoty sercowe, aż do ciężkich depresji.

Szczególnie mocno dało mi się to we znaki w drugim Śmiglu, gdzie zjechało się już sto dwadzieścia osób. Praktycznie nie miałam czasu na jedzenie ani sen. Trwałam na posterunku dwadzieścia cztery godziny na dobę. Odchorowywałam ten obóz przez kilka miesięcy.

W następnym roku próbowaliśmy zreorganizować Klan, zamienić go w warsztaty. Wprowadziliśmy regulamin. Część ludzi poczuła się urażona, większość jednak przyznała mi rację. W trzecim Śmiglu było już tylko sześćdziesiąt osób. Nadal nie było pieniędzy. Na Bibliotekę przyszły lata chude, wymówiono nam salę. Zrezygnowaliśmy również z naszego wiatraka. Ludność Śmigla nie akceptowała nas – to, co robiliśmy, było jej obce. W ten sposób jesienią 1994 roku znowu znaleźliśmy się na lodzie.

Ale tym razem już mnie to nie przeraziło. Zrozumiałam, że nadszedł czas, kiedy Klan musi zacząć działać samodzielnie, bez mojego udziału. Wykorzystując wszystko to, czego ich nauczyłam i czego nauczyli się sami. Zwłaszcza, że równolegle z Klanem prowadziłam już tzw. Przedszkole Literackie – uczyłam pisać wiersze i bajki dzieci w wieku szkolnym i przedszkolnym. Był to w zasadzie ten sam Klan, tylko na niższym poziomie wiekowym. Rozpoczęliśmy również na łamach „Filipinki" ciekawy eksperyment – konkurs literacki, którego celem byłoby wyjawienie młodych talentów prozatorskich. Polska odczuwa wyraźny brak prozaików, piszących o i dla młodzieży. Dorośli autorzy o młodzieży nie mają pojęcia, zaś młodzi ludzie, którzy znają świetnie jej problemy, psychologię, język, po prostu nie umieją pisać. Postanowiliśmy zapełnić tę lukę i wychować sobie grono młodych pisarzy równie dobrych, jak nasi poeci.

Równocześnie z tym ukazała się nakładem „Filipinki" książka pt. *Cześć, poeci i poetki*, która prócz moich felietonów zawiera obszerny wybór klanowej poezji. W „Regionach" ukazał się mój artykuł o Klanie wraz z prezentacją wierszy. W tychże „Regionach" i „Sycynie" pojawiły się wiersze Jadźki Maliny, Karolajny, Joanny Nalewajko, Małgorzaty Ciszewskiej. Nasze nastoletnie autorki i graficzki współpracują z pismami dziecięcymi i młodzieżowymi na równi z profesjonalistami. O Klanie zaczęło być głośno. Napisano o nim kilka prac magisterskich, zrobiono parę programów radiowych. Zwróciło się do mnie nawet Centrum Animacji Kultury z propozycją daleko idącej pomocy.

Teoria, że bez Danki Wawiłow Klan upadnie, okazała się nieprawdziwa. Klan istnieje. Nie tylko w Warszawie, również w innych miastach. Tego roku odbyły się trzy letnie obozy, zorganizowane przez jego uczestników. W warszawskiej pizzerii UFO spotykają się klanowicze najnowszej generacji – wielu spośród nich nawet nie znam. Rozpoznają się sobie tylko znanym sposobem, czytają wiersze, dyskutują, zawierają przyjaźnie. Jest wśród nich wielu trzynastolatków, ale są też studenci. Rozmawiają ze sobą jak równi, co prawdopodobnie poza Klanem nie byłoby możliwe. Tworzą liczną, choć płynną grupę, połączoną jedną filozofią życia i sztuki.

Jak powiedziałam na wstępie, historia Klanu nie jest długa. Ale mimo to starczyłoby w niej materiału na grubą książkę, gdybym chciała ją kiedyś napisać. Chcę. I napiszę ją na pewno. Myślę, że wielu ludziom może się okazać bardzo przydatna.

Zastanawiam się niekiedy – czym był Klan dla jego uczestników? Na pewno ważnym etapem w życiu, lekcją wyobraźni i twórczej miłości. Dla jednych było to sanatorium, gdzie mogli po ciężkich przejściach odzyskać siły i wiarę w siebie. Dla innych – filozofia życia, początek drogi.

Czym był Klan dla mnie? Eksperymentem o wielkim zasięgu i mocy, źródłem wiedzy o życiu, ludziach, poezji, sztuce. Syntezą wszystkich moich doświadczeń i fascynacji. Drzwiami, za którymi otwiera się tysiąc nowych dróg i możliwości. Dowodem na to, że przyszłość sztuki leży nie w ciasnym profesjonaliźmie, nie w sztucznych barierach, stawianych między sztuką i życiem, ale w ich ścisłej symbiozie. Wiarą w to, że przyjdzie czas, kiedy wszyscy będą twórcami i nikt do nikogo nie powie z pogardą: „Idź, chamie, nie znasz się".

A czym będzie Klan dla polskiej kultury?

Zobaczymy.

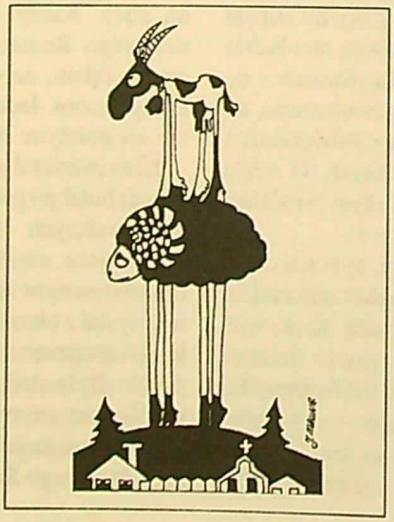

Wyk. Jadźka Malina